

RZECZPOSPOLITA

02-015 WARSZAWA

Pl. Starynkiewicza 7

Nr **65** z dn. **18-03-98**

665

Człowiek

z La Manchy

PRO

Blisko doskonałości

Owoce wzlotów ludzkiego ducha nie są na ogół – paradoksalnie – należyte znane. Don Kichota, bohatera arcydzieła Miguela de Cervantesa, większość ludzi zna głównie jako walczącego z wiatrakami szaleńca. Jak krzywdzące jest to wyobrażenie, możemy przekonać się sięgając po książkę Cervantesa, bądź idąc na musical „Człowiek z La Manchy” – najlepiej w inscenizacji Józefa Opalskiego, którą to wersję chorzowski Teatr Rozrywki pokazał niedawno w Krakowie i Warszawie.

Z pełnym przekonaniem zestawiam tak blisko literacki oryginał z jego sceniczno-muzyczną wersją – widowisko Opalskiego jest bowiem przeżyciem artystycznym najszlachetniejszej próby, a w swoim gatunku bliskie doskonałości.

Dale Wasserman zaadaptował na scenę wątki „Don Kichota”, wzbogacając je o epizody zaczerpnięte z życiorysu autora. Cervantes zarabiał na życie m.in. jako poborca podatków. Mając w tej kwestii zatargi z duchowieństwem, poznał również gorzki smak więziennego chleba. W oczekiwaniu na zebranie trybunału Najświętszej Inkwizycji, wtrącony zostaje między morderców, rzeźmieszków i kokoty. Oni też nad nim, szlachetnie urodzonym panem, odbywają własny sąd. Autor broni się, inscenizując sceny ze swojego życiowego dzieła. Wciela się w postać Don Kichota, służącemu powierza rolę Sancho Pansy, resztę ról rozdaje współtowarzyszom niedoli.

Pomysł genialny w swej prostocie: ludzie z samego dna egzystencji mają okazję zakosztować przez chwilę wzniołszego i piękniejszego życia. Karczemna

dziewka Aldonza staje się nieoczekiwanie Dulcinea, kobietą ucieleśniającą w czyichś oczach najwspanialsze cechy charakteru i umysłu. Cervantes pokazuje uwięzionym, jacy mogliby i jacy powinni być, gdyby się tylko odważyli.

W „Człowieku z La Manchy” konflikt między tym co namacalne, doraźne, pragmatyczne, a tym, co godne, szlachetne, przepojone magią i poezją, wzbogacony został interesującą muzyką Mitcha Leigha, z kilkoma zapadającymi w pamięć, nieśmiertelnymi przebojami (słowa Joe Darion). Ten musical, z przesłaniem apelującym bardziej do wrażliwości i wyobraźni niż zalet praktycznego rozumu, jest jednym z najwyższych osiągnięć gatunku, gdzie normą jest niewymyślna treść jako pretekst dla popisów wokalnno-tanecznych.

Reżyser Józef Opalski stworzył widowisko głębokie, a zarazem porywające. Zaangażował artystów, którzy w swoich rolach nie mają chyba w Polsce równych. Ciepły baryton Stanisława Ptaka (Cervantes, Don Kichote) współgra z jego poruszającym – zwłaszcza w scenie przedśmiertnej – aktorstwem. Cieszy wspaniałą formą tego artysty, który 27 marca (w Dniu Teatru) ukończy 71 lat. Wspierali go znakomitymi głosami: jowialny Jacenty Jędrusik (Służący, Sancho Pansa), dynamiczna Maria Meyer (Aldonza) i reszta zespołu. Ujmujący szczerością spektakl zagrany został bez najmniejszego (muzycznego i uczuciowego) fałszywego tonu, co nieczęsto zdarza się nawet w telewizyjnych „Rewelacjach miesiąca”.

JANUSZ R. KOWALCZYK

KONTRA

Słowo przed muzyką

Oglądanie „Człowieka z La Manchy” w 1998 r. przypomina, niestety, wycieczkę do muzeum. Prapremiera utworu odbyła się w 1965 r. w Nowym Jorku i była to zupełnie inna epoka. Wówczas miasto to uchodziło za światową stolicę musicalu, którą w późniejszym okresie przeniesiono do Londynu. Są to fakty nie bez znaczenia dla dziełka spółki Leigh-Wasserman-Darion. Dla widza końca XX w. ma ono teraz tę samą świeżość i aktualność co klasyczna wiedeńska operetka, której bohaterkami są wesołe wdówki i księżniczki cyrkówki.

To prawda, że jak na lata 60. „Człowiek z La Manchy” był czymś niezwykłym w swoim gatunku. Ten musical z założenia nie miał być efektowny, zabawny i porywający. Tu nie ma niezwykłej, lub jak się zdarzało częściej, nieprawdopodobnej intrygi, błyskotliwych dialogów, nawet muzyka jest pozornie mało efektowna i poza paroma motywami z trudem wpadająca w ucho. Zamiast tego autorzy proponowali widzowi oddanie się zagaii prawdziwego teatru oraz wielkiej literatury mówiącej parę prawd o człowieku i jego prawie do godności. Jak na musical lat 60. było to ogromnie dużo, jak na teatr końca 90. to nic odkrywczego. Coraz więcej spektakli, nawet na najpoważniejszych scenach dramatycznych, ma formułę bliską „Człowiekowi z La Manchy”. Potwierdza to również chorzowska inscenizacja musicalu. Tak naprawdę bowiem, czym spektakl ten różni się od typowej polskiej produkcji teatralnej lat 90., kiedy to piosenkami i muzyką okrasza się niemal wszystko: Szekspira i Beaumarchais, Wyspiańskiego i Zapolską? Czy wo-

bec tego „Człowiek z La Manchy” jest jeszcze musicalem czy też po prostu dramatyczną normą powszechnie stosowaną dziś w teatrze?

Pytanie to jest zasadne także z jednego jeszcze powodu. Nigdy nie dorobiliśmy się musicalowej tradycji w Polsce, która długo była odcięta od zachodniego świata, zbyt biedna, a i system kształcenia aktorów bardziej mieliśmy wschodni niż zachodni. Gdy dziś zaczynamy odrabiać zaległości, lepiej wychodzą nam próby zmierzenia się z musicalem londyńskim takim jak „Evita” niż z nowojorską klasyką, do której należy „Człowiek z La Manchy”. Tę potrafimy wystawiać albo w konwencji operetkowej, co w chorzowskim spektaklu uosabia Stanisław Ptak, albo po prostu jako normalny spektakl dramatyczny, w którym muzyka, śpiew i taniec odgrywa drugoplanową rolę.

Tej drugiej konwencji bliski jest również Józef Opalski, bo widać wyraźnie, iż w „Człowieku z La Manchy” słowo zdecydowanie bardziej pociąga go od muzyki. I trudno mu się dziwić. Muzyka Mitcha Leigha nie przetrwała próby czasu, a najsłynniejszy przebój „Impossible Dream” w ciągu 30 lat został tak niemiłosiernie skatowany przez rzeszę mniej lub bardziej utalentowanych śpiewaków operowych, iż song ten odarto z całego jego uroku.

JACEK MARCZYŃSKI

Mitch Leigh, Dale Wasserman, Joe Darion – „Człowiek z La Manchy”. Opracowanie tekstu i reżyseria: Józef Opalski, Teatr Rozrywki w Chorzowie, występ gościnny w Warszawie 15 bm.